



Mirosław Bzdyra

część I z II

Sygnatura notacji: **N1241**

Data urodzenia: **14.06.1937 r.**

Data nagrania: **28.03.2018 r., 09.12.2019 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 58 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

<POCZĄTEK NAGRANIA 00:00:00>

Mirosław Bzdyra, urodzony 14 czerwca w 1937 roku w Warszawie. Chciałem nawiązać do swojej działalności, ale bardzo wczesnie dojrzywałem i uważam, że do każdej działalności trzeba dojrzeć. Niektórzy, tak w związkach, jak i w polityce, to z przekonania działają, a inni w celach takich osobistych. Wśród tych naszych założycieli związku to również się trafiali ludzie, którzy działali z pobudek, korzyści osobistych, były również tak zwane wtyczki Urzędu Bezpieczeństwa i byli mocno zaangażowani działacze, którzy przypłacili swoją działalność albo wydaleniem z miejsca pracy, albo później zmuszono ich do wyjazdu z Polski w stanie wojennym, żeby tu nie byli i przypadkowo nie przeszkadzali władzom. W tamtym okresie jak i późniejszym, nie wszyscy pamiętają, że w każdym komisariacie była organizacja partyjna i był sekretarz partii, w każdym wydziale to samo i w komendzie tak samo był Komitet Zakładowy Partii, i podobna sytuacja istniała w prokuraturze. Prokuratura miała też swój związek i tam byli naprawdę uczciwi prokuratorzy, którzy znali prawo i chcieli działać zgodnie z prawem. Podobna sytuacja była w sądach i spotykałem się później, że były sekretarz partii z danego wydziału sędził. Byłem mocno zdziwiony, no bo czystkę to usiłowano prowadzić właśnie w policji, ale zapomniano o innych strukturach państwa. Teraz muszę zacząć od takiej sytuacji, że na moje późniejsze działania miało wpływ to, że po Powstaniu Warszawskim zostałem wywieziony z matką za Skierniewice do wsi Krosnowa, która leżała obok wsi Lipce Reymontowskie. W tej wsi Krosnowa był taki moment, kiedy Reymont tam krótko, ale zamieszkiwał, i o dziwo w czterdziestym piątym roku ojciec powrócił z wojska, bo po powstaniu został zatrzymany przez Niemców i w czasie transportu do obozu wyskoczył z jadącego pociągu, odszukał nas i jakiś czas z nami mieszkał, ale po wkroczeniu Rosjan do Polski ojca od razu wcielono do wojska i wyładował w Berlinie, oczywiście pełniąc tam funkcje wojskowe, jakie mu przydzielono. Mało tego, Rosjanie chcieli go zabrać później do Moskwy, no a polscy lekarze pomogli mu wyjść z wojska i uzyskał mieszkanie, w którym ja obecnie mieszkam.

kam. Dziwna sytuacja, bo mieszkanie składające się z trzech pokoi z kuchnią zostało podzielone, no bo był brak lokali, i część tego mieszkania dostał Stanisław Reymont, bratanek Reymonta pisarza, no a drugą część mieszkania dostaliśmy my. Moimi sąsiadami między innymi była księżna rosyjska, była tak samo siostra kardynała Sapiehy, było sporo mieszkańców, którzy w czasie wietrzenia pościeli i tak dalej to jeszcze mieli herby na swojej pościeli, no i byli tytułarną szlachtą, z którymi ja się znałem, już z ich dziećmi, a potem mój syn z następnym pokoleniem. Ale do czego zmierzam? Że w tak małym skupisku ludzi mieszkali późniejsi decydenci PZPR, bo w czterdziestym piątym, w czterdziestym szóstym roku istniała drużyna harcerska w liceum na ulicy Boremlowskiej i co niedziela w takt werbli ta drużyna maszerowała do kościoła na placu Szembeka, i do tej drużyny należeli: Walery Namiotkiewicz, Marian Krzak, rysownik, który rysował poczet królów w telewizji - Kobyliński, i wielu innych, i o dziwo w okresie późniejszym oni zajmowali takie stanowiska, jak Namiotkiewicz był osobistym sekretarzem Gomułki, a Marian Krzak był ministrem finansów. W tej drużynie tak samo maszerował do kościoła późniejszy przewodniczący Komisji Kontroli Partii w KC, no i to wszystko jakoś się spleta. Mało [tego], uczęszczając do szkoły podstawowej, miałem takie zdarzenie, że profesor politechniki nie był dopuszczony do prowadzenia już wykładów na politechnice i uczył fizyki w szkole podstawowej, to samo było z profesorem biologii z uniwersytetu, która uczyła nas biologii w podstawówce. Działy się takie sytuacje. To wszystko jakoś już kształtowało tę moją świadomość, mało [tego], żeby było ciekawiej, to w jednej ławce siedziałem z Żydem, i te wszystkie takie doświadczenia życiowe jakoś się utrwały u mnie. W okresie późniejszym, już w czasie pracy zawodowej w milicji, miałem świadomość, że następuje niebezpieczeństwo narkotykowe wśród młodzieży i postanowiłem to zbadać. Uzyskałem, nie pamiętam, w jaki sposób, kontakt z profesorem Salwą z Komitetu Centralnego, który po wysłuchaniu moich argumentów wydał polecenie zarządowi więziennictwa, aby wydrukowali przeze mnie opracowaną ankietę dla młodzieży, w której dążyłem, żeby ujawnić, czy brali narkotyki, jak często, w jakich okolicznościach i tak dalej. Prowadziłem te badania i o dziwo później, gdy mój przełożony dowiedział się o tym, że ja coś takiego przeprowadziłem, ukarał mnie dyscyplinarnie surową naganą. Wiedząc o tym, że ja legalnie występowałem o te badania, nie zgodziłem się z tym, no i ponieważ, jak mówiłem, partia decydowała o różnych tam posunięciach, a z kolei ci moi sąsiedzi byli na stanowiskach, postanowiłem udać się do komitetu warszawskiego Partii, żeby mi pomogli w uchyleniu decyzji według mnie niesłusznej o ukaraniu. Okazało się, że był tam pochodzenia żydowskiego jakiś przewodniczący, który zaczął walić pięścią w stół, jak mu to przedstawiałem, no to nie wytrzymałem, udałem się piętro wyżej, już do tego byłego sąsiada, który mówi: „W porządku, nie będziesz karany za to”. No i jak się okazało, nie byłem ukarany, bo po pewnym czasie zorganizowali spotkanie mojego przełożonego, później wyższych przełożonych i sporo członków Kontroli Partii, którzy stwierdzili czy zapytali mnie, czy się zgodzę na takie rozwiązanie, że nie byłem karany, nie było sprawy wnoszonej i wobec tego że jestem zaproszony tu na kieliszek koniaku i kawę. Nie miałem wyjścia, zgodziłem się i w ten sposób uniknąłem tam wpisywania do akt jakichś tam nagan i tak dalej. W okresie późniejszym choroby u mnie się nasilały i w związku z tym komisja lekarska wydała mi orzeczenie o inwalidztwie i zostałem zwolniony z milicji. Po powrocie, przebywając już poza służbą, w pewnym okresie przybiegł do mnie bardzo solidny milicjant, dzielnicowy Marian Kuśmirek, i mówi: „Słuchaj, jesteś nam potrzebny. Ubieraj się”. Ja mówię: „O co chodzi?”. „Ubieraj się, jesteś potrzebny. Jedź”. Oczywiście po targach dowiedziałem się, że zakładają związek i udaliśmy się na Golędzinów. Na Golędzinowie w olbrzymiej świetlicy było kilkuset policjantów z różnych stron Polski i dzielili się już na grupy. Jedna grupa skupiała prawników, którzy chcieli opracować statut związku, inni szykowali pisma do sądu o rejestrację, już był taki podział, a jeszcze inni zaczęli ujawniać fakty świadczące o nadużyciach przez funkcjonariuszy wyższego szczebla różnych takich machlojek, wy-

rażę się potocznie. Oczywiście i ja znałem takie fakty, że na przykład zatrzymana broń u kogoś, jeśli miała ładny wygląd, to nigdy nie ulegała zniszczeniu, tylko zawsze znalazł się ktoś z kierownictwa, który w taki czy inny sposób przywłaszczał ją sobie jako dodatkową broń. Podobne sytuacje się działy, jeśli zostały zatrzymane takie przedmioty jak odzież atrakcyjna czy biżuteria, to w czasie Dnia Kobiet niektóre kobiety dostawały coś z odzieży, a kierownictwo otrzymywało jakąś ciekawą biżuterię, coś z okazji czy święta milicji, czy innych, no i o tym wszystkim wiedziałem. Mało tego, wszyscy milicjanci, a w szczególności dzielnicowi, narzekali, że mają dodatkowe zajęcia, które nie powinny do nich należeć, bo na przykład komornicy nagminnie przysyłali, żeby przeprowadzić za nich wywiady na temat, gdzie dłużnik mieszka, gdzie pracuje i inne, co pochłaniało masę czasu i w tym czasie ten funkcjonariusz nie mógł normalnie wykonywać swoich obowiązków. A były i takie zdarzenia, że niektórym z kierownictwa dosłownie odbijało, bo zlecał dzielnicowemu pan pułkownik, żeby ustalił, od którego sąsiada do niego przychodzą pluskwy przez okno, a jeszcze inne przykłady, to na przykład polecał swoim podwładnym, żeby wyznaczano wartę przed klatką schodową, na której on zamieszkiwał w bloku, tak że działy się nieprawidłowości, o których ja wiedziałem. Tam właśnie takie sytuacje były poruszane przez niektórych tych milicjantów z różnych części kraju, a oprócz [tego] inne, poważniejsze, kompromitujące tych przełożonych, no i oferowali, że dostarczą te dowody, tylko trzeba schować jako kartę później przetargową, jeśli będą chcieli nas prześladować jako związkowców. Ponieważ jak zaznaczyłem, to tam była bardzo duża grupa, ja się tam rozglądałem osobiście, było sporo takich, co mnie znali, funkcjonariuszy i ja ich znałem, ale i było wielu, których widziałem pierwszy raz na oczy, bo pochodzili z zupełnie innego miasta i o nich nie miałem pojęcia. I teraz wróć do tego, że dom, w którym mieszkałem, miał ciekawy napis, już z czasów okupacji niemieckiej: „Rodacy, pomagajcie niszczyć szpiegów”, no i potem po jakimś okresie dowiaduję się, że znaleźli się tacy, którzy podpisali porozumienie z ministrem spraw wewnętrznych Kiszcziakiem, że związków w milicji nie będzie. Oczywiście te osoby, które to podpisały, nie miały uprawnień wydanych przez zgromadzenie czy przez prezydium tego Komitetu Założycielskiego, działali na swoją korzyść – oczywiście później z tego tytułu mieli profity, jak historia wskazuje, tak w postaci stanowisk, jak i tam innych historii. Wśród takich zaangażowanych funkcjonariuszy był sierżant Jan Jabłoński z batalionu konwojowo-ochronnego, który w roku osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy już można było zakładać związki, został wiceprzewodniczącym związków, tych do dziś działających w policji, i o dziwo przyjechał do mnie, żebym mu wydał depozyt, który otrzymałem do przechowania, a dotyczący właśnie różnych nadużyć zgłaszanych przez funkcjonariuszy z różnych tam zakątków kraju. Oczywiście odradzałem mu to, że jeszcze za wcześnie, bo to było parę miesięcy po tych zmianach – nie posłuchał, wziął ode mnie i o dziwo, jako wiceprzewodniczący obecnie działającego związku, jechał służbowym samochodem w okolicy Otwocka, no i jak się później dowiedziałem, staranował ich samochód, no i on zginął. Ta śmierć do tej pory mnie niepokoi, uważam, że jest niewyjaśniona, a może się mylę, może ktoś inny o tym wie, a do mnie to nie dotarło, ale właśnie są takie przykłady, że nie wszystko działa tak, jak powinno, bo i ja osobiście też miałem takie własne przeżycia tego typu, że dokonywano u mnie przeszukań, zarzucano mi przynależność do grupy zorganizowanej. Później otrzymywałem od pani prokurator postanowienie, że żadne przestępstwo nie zostało popełnione, w związku z tym sprawa została umorzona, no ale oczywiście nikt mnie nie przeprosił, ale to na moim zdrowiu na pewno się odbijało i takich historii znam wiele. Tak jak już na wstępie powiedziałem, zostałem tam jakby zaangażowany do działalności związkowej przez tego Mariana Kuśmierka. W chwili, kiedy nielegalnie ktoś podpisał porozumienie z ministrem spraw wewnętrznych o tym, że związków nie będzie, to znalazło się nadal kilkudziesięciu zapaleńców, którzy nie chcieli się z tym godzić, no i zaczęła się taka ponowna działalność, ale już jakby w innym kierownictwie, i do tej innej grupy dokooptowano mnie właśnie

na wiceprzewodniczącego. W okresie naszej działalności, tej grupy, o której mówię, ci zapaleńcy zbierali się u mnie w mieszkaniu, do mnie do domu przyjeżdżali działacze z różnych stron Polski, ale samochodów nie mogli postawić u mnie pod domem, dlatego że raz, przebiła im bezpieka opony, a dwa, to celowo, chcąc wiedzieć, czyj to jest samochód, bo tylko mieli numery rejestracyjne, to włączali tam alarm i włączali klakson, chcąc, żeby ten wyszedł ode mnie sprawdzić, co się dzieje z samochodem. Tych sytuacji było bardzo wiele. I teraz w roku osiemdziesiątym pierwszym, ponieważ sędzia usilnie nie chciał zarejestrować tego naszego związku, mecenas Olszewski, który urzędował na placu Zbawiciela w Zespole Adwokackim, olbrzymia sala, kilkanaście biurk i on, chodziliśmy do niego po te porady prawne, ale on nie mógł też nic zdziałać. Oczywiście każdorazowo dostawaliśmy od sądu postanowienie o odmowie przyjęcia rejestracji, toteż grupa kilkunastu działaczy tego Komitetu Założycielskiego postanowiła podjąć strajk w Hali Gwardii. Ja zostałem o tym powiadomiony, ale ponieważ mieszkam na Grochowie, i do Śródmieścia spory kawałek, jak się dowiedziałem o tym, to od razu sobie przypomniałem, jakie są stosowane metody, w związku z tym usiadłem do maszyny, napisałem jako wiceprzewodniczący pismo do pana profesora Szczepańskiego w Sejmie, informujące, że taki strajk został zorganizowany w Hali Gwardii i złożyłem to na dziennik, oczywiście za pokwitowaniem kancelarii Sejmu. Po przybyciu pod Halę Gwardii okazało się, że tam już jest hala obstawiona i w pewnym momencie podchodzi do mnie prokurator, który był w Związku Zawodowym Prokuratorów i mówi: „Słuchaj, tam dalej nie możesz iść, bo cię zamkną. Tu stoi autokar, chodź, Solidarność się tobą zaopiekuje”. Podprowadził mnie do autokaru, coś tam powiedział jednej z tam przebywających osób, a ten od razu mnie złapał, wciągnął do autokaru [i mówi]: „Jedziesz do nas”. Pytam się: „Do was, to dokąd?”. „Jesteśmy z Róży Luksemburg, Solidarność. Wziemy cię i przemówisz do załogi”. No, było dla mnie zaskoczeniem, ale zorganizowali spotkanie załogi ze mną, no i wystąpiłem tam z takim przemówieniem, naświetlając, po co ten związek powstał, co robimy i tak dalej, no i potem wróciłem do domu, ale w międzyczasie niektórzy z naszych członków tego Komitetu Założycielskiego mieli kontakty z Solidarnością tramwajarzy, kolejarzy czy strażaków i na przykład Solidarność z Młynarskiej, z zajezdni tramwajowej, drukowała nam plakaty i różne odezwy, natomiast inni działacze kolportowali to do dyrekcji na Targową i tam przekazywali Solidarności kolejowej, i wszystkie pociągi wyjeżdżające ze stacji Warszawa były oklejane tak, że nawet okna były zaklejane plakatami mówiącymi o Związku Milicji, i to jechało do miejsca przeznaczenia. Oczywiście w czasie jazdy pociągu pospiesznego bezpieka nie mogła sobie pozwolić na to, żeby te plakaty odkleić i tak dalej, bo na to nie było czasu, i dzięki temu ta działalność Związku Milicji była rozpowszechniana. I jeszcze jedna ciekawostka: zacytowałem ten napis na swoim budynku, to znaczy na parterze pod oknami był napis z liter wysokości osiemdziesiąt centymetrów, czyli to był napis z dala widoczny, na całą szerokość budynku, i z kolei miałem również kolegów, jeszcze z liceum, którzy później byli dziennikarzami, i wśród tych dziennikarzy, którzy przychodzili do nas tam na te spotkania Komitetu Założycielskiego w różnych fazach, jeszcze w tych poprzednich, oni wszystkich wypytywali o liczne szczegóły, co nie robili inni, no i podejrzewałem tam kilku, że są współpracującymi z bezpieką. Oczywiście miałem później takie potwierdzenie swoich podejrzeń, bo idąc w ciepły dzień Rakowiecką, raptem usłyszałem swoje imię wypowiedane z ministerstwa, z parteru z okna. Spojrzałem – znany mi tam o imieniu Jurek kolega kiwa na mnie, żeby podszedł. Nie pamiętam, czy mnie wprowadził tam do siebie, czy nie, ale mówi: „Chodź, chodź, coś posłuchasz”. Jak się okazało to puszczał nagrania moich rozmów telefonicznych tak służbowych, jak i prywatnych, z olbrzymiej taśmy i mówi: „To wszystko idzie na zniszczenie w tej chwili”. Wśród tych takich nagrań zorientowałem się, że byli i dziennikarze, którzy Służbie Bezpieczeństwa przekazywali te wiadomości. W zasadzie nieraz teraz patrząc, jak niektórzy przyodziewają się w cudze piórka, bo nie działali w związkach, no a twierdzą, że działali – no,

działało oczywiście, jak podają statystyki, 10 000 000 członków Solidarności i związki branżowe. W związkach branżowych, tak jak w milicyjnych, też była spora grupa i każdy, który przebywał w tym Komitecie Założycielskim, czy jako ten członek założycielski, musiał się liczyć z tym, że zostanie wydalony ze służby, jak to ujawnią, ewentualnie zmuszą go do wyjazdu. Mimo tego ci ludzie aktywnie działali, no i później za tę swoją działalność to tylko ponosili jakieś straty moralne i inne, no ale żadnego z nich nie widziałem, żeby w jakichś strukturach państwa działał, żeby był czy w Sejmie, czy w Senacie, to do tego nie doszło, chociaż oni byli naprawdę zaangażowani. To samo dotyczy niektórych mocno zaangażowanych w działalność solidarnościową. W tej chwili, jeśli mogę, to chciałbym skorzystać z tego, że w ścisłym takim prezydium we wrześniu osiemdziesiątego pierwszego roku był Ireneusz Sierański, który był przewodniczącym tego prezydium, później Mirosław Banasiewicz, Włodzimierz Jaworski, Tadeusz Barczak, no i ja. Oczywiście tego Sierańskiego zmuszono, żeby opuścił kraj, odnośnie innych to po prostu nie miałem już wiadomości o nich, bo był nawet taki moment, kiedy zostałem wezwany w stanie wojennym do ministerstwa na spowiedź, co ja robiłem w związkach i tak dalej, i w tym czasie w sąsiednim pokoju chyba podobną rozmowę przeprowadzali z Irlkiem Sierańskim, ale prawdopodobnie celowo wyprowadzali nas jednocześnie, żebyśmy siebie wzajemnie zobaczyli, a nuż któryś na któregoś będzie coś tam zeznawał, więc takie sytuacje były. No, a jeszcze jedna rzecz, bezkarność prokuratorów, jak w innym państwie, bo prokurator dowolnie może oskarżać na zasadzie domniemych przypuszczeń i później musi umorzyć sprawę, o której wiedział, że przestępstwo nie zaistniało, ale i opinię się szarpie człowiekowi i po prostu traci zdrowie przez to, tak że jak ja miałem na przykład naloty, że dwunastu panów pułkowników przyjeżdżało do mnie do domu i dokonywali przeszukania – oni, pułkownicy, co się nie zdarza – a potem się okazało, że nie mają przeciwko mnie żadnych argumentów i sprawę umarzają, stwierdzając, że przestępstwo nie zaistniało, ale niektóre rzeczy zginęły mi bezpowrotnie, no i z tym się muszę godzić.

Panie Mirosławie, ja bym jeszcze prosił, żeby pan opisał swoją drogę taką edukacyjną, zanim pan zaczął służbę, bo pan podał, że z przyczyn zdrowotnych pan ją zakończył, ale nie podała data i nie podał pan, w jakiej specjalności pan działał. Z poprzedniego nagrania pamiętam, że to była między innymi Milicyjna Izba Dziecka, więc jakby pan był uprzejmy powiedzieć o tej służbie do momentu, kiedy z przyczyn zdrowotnych pan opuścił służbę i w którym roku, kiedy może dokładniej do pana przyszli koledzy, znając pana etyczność, solidność, żeby pana zaangażować w Solidarność Milicji.

Więc w Izbie Dziecka pracowałem po tym incydencie, co mówiłem, że zostałem ukarany dyscyplinarnie za prowadzenie badań na temat narkomanii. Zostałem przeniesiony przez zastępcę komendanta stołecznego milicji, no i mi się przypomina incydent taki, że moja żona miała poważną operację i leżała na Wołoskiej w szpitalu, w sali, na której leżało dziesięć kobiet. Wśród tych kobiet leżała żona właśnie tego zastępcy komendanta stołecznego, też bardzo poważnie chora, a to było przed Bożym Narodzeniem. Któregoś dnia przychodzę w odwiedziny do żony, chcę zaglądnąć do sali, a pielęgniarka do mnie krzyczy: „Proszę tam nie wchodzić, proszę tam nie wchodzić! Chore zostały przeniesione do tej sali”, wobec tego idę do tej kolejnej sali. Patrząc trochę więcej łóżek niż na poprzedniej sali, bo bardziej pozsuwane, i zaczynam tam rozmawiać z żoną, a żona komendanta stołecznego leżąca obok do mnie mówi: „A, tam leży osobisty sekretarz Gomułki i dlatego nas tu przeniesiono”. To mnie poruszyło, no bo jak to, dziesięciu chorych przerzucić do następnego pomieszczenia, po to, żeby on miał salę? No ale nic, porozmawiałem z żoną, wychodzę, no to już tam krzyczy ta pielęgniarka: „Proszę nie wchodzić!”, ja mówię: „Ja wiem, do kogo wchodzić”. Wchodzę i od razu

pytam: „No, dzień dobry. – ja mówię – Coś ty, burżu, zrobił? Wszystkie chore są przeniesione po to, żebyś ty tutaj sam się byczył w tej sali?”. Trzy telefony, jeden bez tarczy, dwa jakieś inne. Ja mówię: „Jadę do domu, co matce powiedzieć?” – a znałem jego matkę, była magistrem farmacji, miała kiedyś swoją aptekę, mało [tego], na Mickiewicza ojciec był przed wojną oficerem, i mówię: „Będę przechodził koło apteki, to matce mogę [przekazać]”. „A nie, no widzisz, mam tutaj telefony, więc z matką mam kontakt bezpośredni. A po co ty tu wpadłeś?”. Ja mówię: „Żona leży i też tu na tej sali leżała i została przeniesiona”. No i porozmawialiśmy jeszcze coś, wychodzę, wróciłem do domu. Jak się okazało, przychodzę następnego dnia do żony, a wszystkie chore na mnie tak patrzą, a żona do mnie: „Coś ty narozrabiał?”, ja mówię: „Co narozrabiałem?”. „Przybiegł dyrektor, ordynator, kilku lekarzy i po kolei wszystkich wyypywali, co nam jest, co trzeba – mówi – opieka nie z tej ziemi”, a jeszcze Namiotkiewicz jak już odchodziłem, to mi powiedział: „Zbliża się sylwester, to ja tu byłem raczej tak profilaktycznie, w związku z tym wychodzę, bo na sylwestra muszę być”, no i znowu na tym się skończyło. Mając takie doświadczenia, to później jak mówiono o tych związkach, to akceptowałem to. I teraz wracając do Izby Dziecka: będąc już w Izbie Dziecka, miałem takie przypadki, że obecnie działacze z pierwszych stron gazet albo z telewizji byli tam też dowożeni i jeden z nich miał zarzut, że ukradł z bloku silnik ważący 400 kilogramów i go sprzedał, i za to miał sprawę w sądzie dla nieletnich, a ponieważ ja tam pracowałem dosłownie na wszystkich stanowiskach, dlatego że rotacyjnie mnie zmieniano – raz byłem wychowawcą, raz byłem psychologiem, raz byłem oficerem dyżurnym – w związku z tym miałem kontakt z sędziami dla nieletnich, bo akurat byli naprawdę rozważni sędziowie, którzy w czasie takich luźnych spotkań, nie na sali rozpraw, tylko tak, no to w formie takiej bezpośredniej rozmowy zapytywali: „Co pan myśli na temat x nieletniego? Co by należało zrobić?” i mówiło się, co się wie o tym nieletnim, co by było dla niego najbardziej właściwe. I właśnie trafiła ta sprawa do sądu i sędzia mnie się pyta odnośnie tego nieletniego, który w tej chwili jest na pierwszych stronach gazet i w telewizji. Ja mówię: „Proszę wysokiego Sądu – czy proszę, pani sędzio, chyba »pani sędzio« mówiłem, a w sądzie na sali mówiłem »wysokiego Sądu« – po pierwsze, to jak chłopak dwunasto- czy trzynastoletni może ukraść silnik ważący 400 kilogramów? Tu dźwig potrzebny. – ja mówię – No to wysoki Sąd chyba to weźmie pod uwagę”, no i wysoki Sąd później wziął to pod uwagę, że chłopak został niewinny, ale w ten sposób właśnie, ponieważ wymuszali, żeby była jak największa wykrywalność, no to jeśli chłopak miał tam jakieś drobne inne uchybienia czy występki, to dopisywało mu się właśnie już takie poważniejsze sprawy. Ponieważ pracowałem na różnych tych stanowiskach, to przyjeżdżali również oficerowie wydziałów kryminalnych z różnych komend, przywozili nieletnich, i na przykład do izby dowozili niektórych członków mafii pruszkowskiej czy wołomińskiej, wtedy kiedy oni mieli po te czternaście lat i dzięki temu też ich znałem. Trafiły się jeszcze inne historie, jak na przykład tego rodzaju, że tam nieletni czy nieletnia stwierdzali i podawali adres jakiejś osoby duchownej, że tam przebywali jakiś czas, no ale wtedy od razu był obowiązek powiadomienia bezpieczeństwa na ten temat i sprawa izby od razu trafiała tam do nich do rozpoznawania, już tutaj w izbie śladu na ten temat nie było. Mało [tego], właśnie tak jak na wstępie powiedziałem, że Janek Jabłoński był z tego batalionu konwojowo-ochronnego, to miał służbę ochronną izby. Mieli tam swoją dyżurkę i cyklicznie wymieniali się jako ochroniarze, milicjanci i między innymi ten Janek tam przychodził i dzięki temu to nawet z tego go znałem, później jak on już był wiceprzewodniczącym tego legalnego związku i wcześniej te jego zaangażowania. W Izbie Dziecka, jak mówiłem, miałem też to udogodnienie, że mogłem z nieletnimi rozmawiać na temat narkomanii, gdzie przebywali, czy brał narkotyki, czy nie, i z kolei wypełniali oni ankiety pod moim nadzorem, tak samo już jak przebywali w zakładach tych wychowawczych czy poprawczych, to tam jeździłem, i o dziwo później miałem tych ankiet około 2 000, to była skarbnica. Oczywiście w czasie takich najazdów na moje mieszkanie panów pułkow-

ników zostały te dokumenty zabrane, oczywiście bez udokumentowania, że mi zabrali, bez opisu, zapisu i zginęło, i to jest wielka szkoda, bo tam naprawdę było przeze mnie opracowane procentowo, ilu nieletnich, z jakich rodzin, załóżmy, zażywają narkotyki, no a u nas się przecież mówiło, że młodzież w Polsce narkotyków nie zażywa. Tak samo miałem odnośnie alkoholu – w jakim okresie pili, z jakiej rodziny pochodzili, no i to zostało zniszczone i to też później rzutowało, że miałem tę świadomość o tym wszystkim, co się dzieje. Chyba w 1980 zostałem zwolniony przez komisję i już w czasie zakładania związków to już byłem po prostu rencistą. Ja na przykład tak sobie mówiłem, że mnie nie pozbawią pracy, no bo ja już jestem rencistą, no a z kolei żeby pozbawić mnie renty, gdzie kilkunastu lekarzy potwierdziło moje choroby, to też nie tak łatwo, wobec tego może byłem bardziej odważny niż pozostali koledzy i zgodziłem się przechowywać u siebie te materiały kompromitujące, bo jakoś to wszystko jest dość dziwne, bo Kiszczak, jak jeszcze był szczeniakiem, no bo miał te kilkanaście lat, to przebywał u swojego stryja Milewskiego, fryzjera na Szembeka i późniejszego ministra jeszcze jako dzieciaka tam u siebie trzymał. Tak samo dziwna historia, bo ile tam, kilka lat temu, co był prezesem ktoś w telewizji, to też w sąsiednim domu od dziecka zamieszkiwał i się wychowywał, ale to wszystko było spowodowane tym, że zaraz po wojnie brakowało mieszkań i mieszkania trochę większe to rozdzielano na mniejsze i tam wsadzano po kilku lokatorów. Jeśli były trzy pokoje z kuchnią, to potrafią dać właścicielowi tego mieszkania jeszcze do dwóch pokoi dwie inne rodziny, no i dzięki temu to było takie zagęszczenie z różnych struktur naszych obywateli.

Czy jak pan został zawieszony na spotkanie z załogą do zakładów Róży Luksemburg, czy w sumie do Hali Gwardii pan wrócił? Był pan na terenie strajków?

Nie.

Już był kordon, już nie dało rady?

Nie, już nie wróciłem, tylko później znowu miałem kontakty przez Irka, ale tam już nie wróciłem, bo nie mogłem. Oczywiście skończyło się, tak jak wszyscy wiedzą, że nie byli zatrzymani na dłużej, ale безпеka deptała ciągle nam [po piętach].

Czyli pan załatwił ważne ruchy formalne z zewnątrz?

Z zewnątrz.

Chodzi o to pismo do Sejmu.

Tak, i do profesora właśnie Szczepańskiego, który usiłował nam pomóc, bo on był przewodniczącym komisji w Sejmie i dlatego interweniował, gdzie mógł, ale nie za bardzo mu to wyszło. Tak samo późniejszy premier, pan Olszewski jako adwokat też chciał pomóc nam w rejestracji związku, ale się nie udało.

Z tego co pamiętam, w tym artykule, o którym rozmawialiśmy z „Newsweeka” z 2014 roku, z lata, nie pamiętam w tej

chwili autora, ale [tytuł to] „Milicja strajkuje”, tam było podane chyba, że dwudziestu pięciu milicjantów o wyższych funkcjach było internowanych. Coś pan o tym może powiedzieć, kojarzy pan jakieś nazwiska?

Nie. Później to ja po tym, jak byłem tam wzywany w stanie wojennym jeszcze do ministerstwa i rozpytywali mnie o moje działalności, to zacząłem się zastanawiać, co zyskaliśmy z tej swojej działalności, no i teraz jakie są prześladowania, a wobec tego nie angażowałem się i z kolei w osiemdziesiątym dziewiątym, jak mi proponowano, żebym wrócił do struktur już tych legalnych związkowych, to już się nie pisałem na to, już uważałem, że zdrowie jest ważniejsze niż działalność, no a jakieś już miałem uprzedzenia, tym bardziej, że wiedziałem o niektórych, którzy po prostu donosili, ale właśnie wrócić jeszcze do tego napisu na swoim budynku. Napis ten został później przykryty barankiem robionym miotłą, i tak się nieraz zastanawiam, czy w tej chwili jest to możliwe, żeby ten baranek usunąć, żeby ten napis ponownie się ukazał. Nie wiem, na ten temat nie rozmawiałem z fachowcami. W każdym razie jest tak, że ja już od tamtej pory jak wcześniej działałem społecznie, to od tamtej pory już powstrzymuję się od jakichkolwiek działań.

Natomiast tak się zastanawiam, musiał pan sobie wyrobić bardzo dobrą opinię w środowisku, skoro z takiego stanowiska, wydawałoby się, miękkiego, w dobrym tego słowa znaczeniu, Milicyjna Izba Dziecka, że pana wciągnęli do ścisłego kierownictwa związku jako wiceprzewodniczącego Komitetu Założycielskiego, tak?

To tak jak mówiłem, było sporo tych milicjantów z różnych dzielnic Warszawy, którzy mnie znali. Przyjeżdżali do izby, wcześniej pracowałem na Grenadierów w komendzie i też mnie znali, w związku z tym gros tych założycieli, z wyjątkiem właśnie ZOMO, no bo tam byli i z ZOMO, to mnie znało. Również byli i tacy, którzy piastowali wysokie stanowiska, bo na przykład naczelnik wydziału w Komendzie Dzielnicowej czy w Komendzie Stołecznej należał do tego Komitetu Założycielskiego, ale to w ścisłej tajemnicy, żeby to się nie wydało, żeby nie było jawne, że i on należy, ale należał. No i właśnie później na przykład co mnie zastanowiło: był Związek Prokuratorów, to jeden ze związku, nie pamiętam nazwiska, ale Zbyszek, akowiec, który był prokuratorem wojewódzkim, przeszedł do Najwyższej Izby Kontroli, bo już nie mógł znieść tego, co tam się działo w Prokuraturze Wojewódzkiej, ale na przykład inni prokuratorzy, o których miałem takie wysokie mniemanie, to jakoś nigdy już nie wypłynęły ich nazwiska, że pracują jeszcze w prokuraturze, że piastują jakieś stanowiska. Tego nie było, tak że cały czas to raczej się jeszcze odbija negatywnie na niektórych byłych działaczach, no ale życie jest, jakie jest. No ja wiem, o czym by tu powiedzieć? Wiem, że ja tam sobie coś przemyślałem, że warto by było [wspomnieć]. O tym, że byli sekretarze Partii i tak dalej, to mówiłem, a w tej chwili o tym się zapomina, że oni rządzą, i na przykład jak w tej chwili, jeśli jest 1 000 sędziów z tamtego okresu, wśród nich są jeszcze sekretarze partii z poszczególnych sądów i wszyscy sędziowie mają świadomość, że wezwał ich sekretarz partii Komitetu Wydziałowego czy Zakładowego, i mówi tak: „Proszę, panie sędzio, w tej sprawie to my widzimy takie i takie rozwiązanie”, i on to wykonywał.

Jeżeli chodzi o ten Komitet Założycielski, to było takie miejsce, taka instytucja, że chyba nie było drugiej obciążonej takim dużym ryzykiem próby zakładania niezależnych związków zawodowych. W Resorcie Bezpieczeństwa Milicja Obywatelska zakłada związek. Czy pan pamięta, jaki był klimat wokół tego, czy ludzie mieli świadomość ryzyka, bali się?

Właśnie ci najodważniejsi, którzy zostali zapomniani, po prostu mieli świadomość, bo takie składanie raportów jeden o drugim to w milicji było rzeczą normalną, bo ja miałem na przykład takie zdarzenie, że nikogo nie było w komendzie, byłem tylko ja jeszcze, a tamci wszyscy z jakichś tam okazji byli gdzieś poza komendą. Przyjechał człowiek z Łodzi, taksówkarz, że mu ukradli opony i że sprawa się toczy, i mówi tak: „Dostałem tu z komendy takie zaświadczenie, ale to jest niewystarczające, no i teraz co ja mam robić?”, to ja mu mówię: „Ma pan rację – patrzę, wszystko jest legalne, to mówię – to ja panu wypiszę tak, jak panu potrzeba”. Wypisałem, podpisałem się swoim nazwiskiem, imieniem, funkcją, datą i tak dalej, człowiek pojechał. Co się okazało? O tym się dowiedział jeden, nazwijmy go: kolega z pracy. Natychmiast zameldował komendantowi, no i sekretarz Partii, tam kilku z prezydium Partii w komendzie, wezwali mnie na rozmowę, jak ja śmiałem podpisać coś takiego. „Nie byłeś uprawniony”, ja mówię: „Nie byłem – ale mówię – chyba dobro obywatela leży nam na sercu. Czy popełniłem przestępstwo? Nie jest prowadzone postępowanie?”. „No jest, ale ty nie miałeś prawa”. „A to ten, co wypisywał, to nie miał świadomości, jak to powinno wyglądać? Człowiek jedzie sto parę kilometrów, żeby to sprostować, i co, miał wrócić i jechać jeszcze raz? – ja mówię – To w porządku?”. „No tak, no ale nie miałeś prawa. Nie wiem, czy cię mamy ukarać”. Ja mówię: „Spróbujcie”, ale ja wtedy miałem tych sąsiadów i wiedziałem, że ewentualnie się zwrócę do nich, no bo byłem przekonany, że działałem słusznie, ale jednocześnie ujawniło się, że jeden na drugiego donosił, i tak to wszystko wyglądało. A wobec tego każdy z tych działaczy miał taką świadomość, że jest obserwowany przez tych swoich kolegów, członków partii, a w zasadzie to można powiedzieć, że w każdej jednostce milicji to było sto procent partii. Tam nie było tak, że mógł nie należeć. Jeśli został przyjęty i nie należał, to nawet komendant dzielnicy go przy każdym spotkaniu pytał, kiedy wypisze deklarację o wstąpieniu. No i teraz tak: jeśli chciał pracować, bo mu się podobał zawód, no to w końcu się decydował i mówi: „A, wszyscy należą, to i ja mogę”, i w tej chwili nieraz jak jest taka nagonka na tych zwykłych członków partii, to się zastanawiam, czy ona jest słuszna, bo ci ludzie nie mieli wyjścia. Sędziowie wszyscy należeli do partii, prokuratorzy należeli do partii, i teraz sędzia, były członek Partii, to mu nikt tego nie wypomina, czy prokurator, że należał do Partii – no należał, każdy jeden z nich. Nawet ten mój akowiec, no to będąc tym prokuratorem wojewódzkim, też należał do Partii. Takie było życie wtedy. Pracował w Komendzie Głównej Straży, w tej szkole, i był dyspozycyjnym tam w Szkole Głównej i z kolei kiedy wkroczyli Niemcy, to my tam mieszkaliśmy w budynku Komendy Głównej Szkoły Pożarnictwa, i Niemcy część tych budynków zajęli, esesmani, a jeszcze zostało kilku Polaków. Nawet była taka historia, że pamiętam, major Pogorzelski miał żonę artystkę z opery przedwojennej, no i ona nie pracowała już w operze, ale tam na przykład sobie jeszcze ten głos ćwiczyła, mieszkając, no to tam różne psikusy robili, ale to tak na marginesie. I zostaliśmy wysiedleni z tego mieszkania, i tak jak też mówiłem, Żydzi musieli opuścić swoje mieszkania i przejść do getta, i jak Niemcy stawiali ten mur getta, to część takich budynków została po stronie polskiej, pożydowskich, i Niemcy, wysiedlając Polaków czy z alei Szucha, czy innych [ulic], czy tak jak nas z budynków straży, przydzielali im mieszkania właśnie te pożydowskie, i my dostaliśmy mieszkanie pożydowskie na ulicy Sierakowskiej. Tam była zajezdnia tramwajowa na Sierakowskiej, w pobliżu Wołówka – taki bazar, o którym w tej chwili nikt nie pamięta i nie wie, były magazyny esesmańskie, umundurowania i żywienia, i to przy Inflanckiej, tak że ja te rzeczy doskonale pamiętam i wiem. Tak samo jak razem mówiliśmy o tym tramwaju, Wiatraczna, za tory jak Niemcy wozili swoich rannych, o tym wszystkim wiem. Ja miałem to nawet trochę inaczej ująć odnośnie tego, jak to harcerze w takt werbla na dziewiątą maszerowali do kościoła, a potem stali się komunistami w sensie zajmowanych stanowisk, no i jak się to zmienia.

Te magazyny esesmańskie, o których pan mówi, przy Inflanckiej, no to były te słynne magazyny na Stawkach, zdobyte

w czasie Powstania Warszawskiego.

No tak, i właśnie jak w czasie powstania brakowało żywności, ludzie dokonali tam włamań do tych magazynów, to oprócz konserw, bo tam były konserwy, i sam je jadłem, bo były ozorki w puszkach, były pasztety w puszkach i były inne tam mielonki w puszkach i były tak samo esesmańskie stroje, i z kolei w piwnicach zimno, niektórzy założyli spodnie esesmańskie, kurtki esesmańskie i później za to w łeb dostali. Mój brat właśnie, czternastolatek, miał spodnie esesmańskie na sobie, jak powstanie upadło i nas wysiedlali, i dostał w łeb.

Został zamordowany?

Został zamordowany. To znaczy nie brat rodzony, tylko brat cioteczny. Tak że takie historie były.

<KONIEC NAGRANIA 01:00:28>